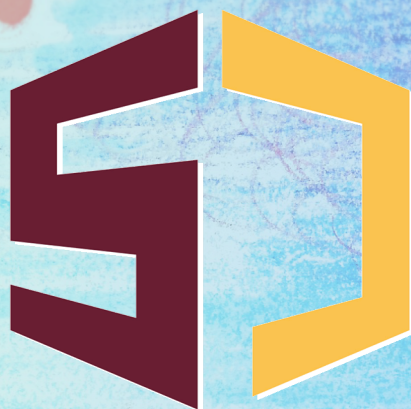


KOSTKA



MAGAZYN

Zima 2024/25



„Nie mamy pojęcia” - recenzja
Powieść kryminalna w odcinkach
Czołg 7TP



KOSTKA

PUBLICZNE LICEUM

OGÓLNOKSZTAŁCĄCE JEZUITÓW
IM. ŚW. STANISŁAWA KOSTKI

SPIS TREŚCI

• Skład redakcji	2
• 7TP	3
• „Nie mamy pojęcia” - recenzja	6
• Wspomnienie	7
• Wszystkie grzechy „Tatuażysty z Auschwitz”	8
• Powieść kryminalna - rozdział 2	13
• Dodatek: Dzieciątko w okopach	15
• Kącik kulinarny	22



Kurator numeru: O. Tomasz Nogaj SJ

Korektor tekstów: Iwona Poręba

Opiekun redakcji: Iga Szwajkosz

Redaktor naczelny: Dorota Cabaj

Zastępca R. N.: Jakub Wojasiński

Skład: Dorota Cabaj

Okładka i rysunki: Ewa Łukasik, Antonina Igielska

Redaktorzy: Mateusz Brzęk, Mikołaj Szkaradek, Jakub Wojasiński, Dorota Cabaj, Nikodem Bodziony



7TP

Witajcie Szanowni Czytelnicy! Nowa seria, którą Wam proponuję, będzie mieszanką techniki, wojskowości oraz historii, ponieważ jest o... czołgach! Temat z pewnością wciągający i interesujący. Postanowiłem napisać o ro-dowitym, polskim pojeździe pancernym - zasłużonym 7TP, który jest z pewnością ikoną Kampanii Wrześniowej 1939 roku. Miłej lektury!

Historia 7TP zaczyna się na początku lat 30 XX wieku. Do tej pory Polska korzystała ze starych, bo jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej, francuskich czołgów FT oraz szeregu samochodów pancernych. Pojawiła się jednak potrzeba cięższego czołgu frontowego, w związku z czym Polacy zamówili w Wielkiej Brytanii 50 czołgów Vickers E. Pierwszy pojazd okazał się dość dobry, jednak wykazał także wiele wad. Te problemy w połączeniu z ceną tej broni spowodowały, iż Polacy doszli do wniosku, że należy stworzyć własny projekt, oparty jednak na brytyjskim Vickersie.

Prace nad 7TP rozpoczęły się w roku 1932. Prowadzone były one m.in. przez Państwowe Zakłady Inżynierii (PZInż). Projekt posiadał prawie niezmienione zawieszenie oraz (początkowo) dwie wieże oparte na czołgu Vickers, jednak przez zamontowanie dwa razy większego i mocniejszego silnika, konieczna była przebudowa tylnej komory. Wzmocniono również pancerz, którego grubość maksymalna wynosiła 17 mm.

Istniały dwie wersje tego pojazdu - dwuwieżowa i jednowieżowa. Pierwsza z nich była uzbrojona w dwa karabiny maszynowe Browning wz.30 kalibru 7,92 mm z amunicją przeciwpancerną z możliwością wymiany na Hotchkiss wz.35 czy Maxim wz.08. W tej wersji dowódca czołgu zajmował miejsce w prawej wieży, działonowy - w lewej, natomiast kierowca w przedniej, prawej części kadłuba. Zbudowano cztery prototypy tej wersji, która miała być jedynie wersją tymczasową przed jednowieżowym 7TP. Ta wersja była projektowana od 1934 roku i miała być głównym modelem produkcyjnym. Ze względu na problemy z wieżą oraz wyborem działła prace trwały aż do 1936 roku. Ostatecznie zdecydowano się na działko kal. 37 mm szwedzkiej firmy Bofors.





Podpisano kontrakt, na mocy którego Szwedzi dostarczyli nie tylko działo, ale także wieżę wraz z jej całym wyposażeniem, którą to jednak Polacy zmodyfikowali, w wyniku czego została ona przesunięta nieznacznie na lewą stronę. Oprócz działła czołg posiadał także sprzężony z nim wspomniany wcześniej karabin wz.30.

Czołgi 7TP zostały po raz pierwszy(i zarazem ostatni w dziejach Wojska Polskiego) użyte podczas kampanii wrześniowej w składzie 1. i 2. Batalionu Czołgów Lekkich oraz 1. i 2. Kompanii Czołgów Lekkich Dowództwa Obrony Warszawy. Te wchodzące w skład 1. wspomnianego baonu walczyły w składzie Armii Prusy m.in. pod Przedborzem, Sulejowem, Inowłodziem, Odrzywołem i Drzewicą. Sukces udało się odnieść 8 września, jednak już następnego dnia jednostka została rozproszona, a część 7TP zniszczono pod Głowaczowem. Połowa 7TP z pierwszego batalionu przedostała się jednak przez Wisłę, po czym walczyła w składzie Armii Lublin, a następnie w Warszawskiej Brygadzie Pancerno-Motorowej, w której stoczyła walki pod Józefowem i Tomaszowem Lubelskim. Pomimo wielu sukcesów 1. Batalion musiał skapitulować przed przeważającymi siłami Wehrmachtu.

Czołgi 7TP wchodzące w skład 2. Batalionu Czołgów Lekkich walczyły natomiast w Grupie Operacyjnej Piotrków w ramach Armii Łódź. Po walkach nad Prudką oraz rozproszeniu swoich sił batalion wycofał się przez Warszawę do Brześcia nad Bugiem, a w dniach 15-16 września walczył przeciwko Niemcom pod Włodawą.

Gdy 17 września jednostka utraciła wszystkie 7TP ocalali żołnierze przekroczyli granicę neutralnej Rumunii.

Polskie maszyny wchodzące w skład 1. i 2. Kompanii Czołgów Lekkich Dowództwa Obrony Warszawy brały udział w obronie stolicy Polski. 1. Kompania walczyła w dniach 8-12 września, a po utracie większości swoich 7TP (które były jeszcze w wersji dwuwieżowej) została wcielona w skład 2. Kompanii, która, co ciekawe, mogła posiadać, zamiast standardowej, jednowieżowej wersji 7TP, wersję o nazwie potocznej 9TP. Były to pojazdy o pogrubionym pancerzu oraz lepszym silniku. Warto jednak wspomnieć, że nazwa 9TP nie jest poprawna, ponieważ wskazuje, iż był to nowy czołg, a nie wersja rozwojowa istniejącego. Poprawną nazwą jest 7TP wzmocniony. Czołgi te walczyły na ul. Opaczewskiej, a także w ataku na Wawrzyszew. 15 września czołgi wraz z piechotą przeprowadziły kontratak, który miał na celu połączenie się z oddziałami Armii Poznań. Podczas tej akcji poniesiono znaczne straty. Czołgi, które ocalały, zostały zniszczone w momencie kapitulacji Warszawy 27 września.

Klęska Polski w kampanii wrześniowej nie oznaczała jednak końca służby 7TP. Ocalałe pojazdy zostały wcielone do Wehrmachtu, przemalowane na dunkelgrau, a następnie wykorzystane podczas parady zwycięstwa w Warszawie. Następnie czołgi 7TP wykorzystane były podczas walk we Francji czy Norwegii, a także do walk z par-tyzantami na terenach okupowanych Polski czy Związku Radzieckiego.

Podsumowując, czołgi 7TP były bardzo dobrymi jak na swoje czasy maszynami, lepszymi od wielu niemieckich konstrukcji. Jednak przewaga liczebna Niemców, brak umiejętności polskich dowódców na wyższych szczeblach oraz niewielka ilość 7TP spowodowały, iż polskie jednostki poniosły klęskę.

DANE TAKTYCZNO-TECHNICZNE:

DŁUGOŚĆ	4,87 m (w wersji dwuwieżowej) 4,60 m (w wersji jednowieżowej)
SZEROKOŚĆ	2,40 m
WYSOKOŚĆ	2,08 m (w wersji dwuwieżowej) 2,12 m (w wersji jednowieżowej)
MASA	9,4 t (w wersji dwuwieżowej) 9,9 t (w wersji jednowieżowej)
ZAŁOGA	3 osoby (dowódca, działonowy, kierowca)
SILNIK	1 Silnik Wysokoprężny Saurer VLDBb (PZInż.235) diesel 6-cylindorwy, 110 KM (80 kW), 11KM/tonę
PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNA	37 km/h
ZASIĘG	160 km (po drodze), 130 km (w terenie)
UZBROJENIE	1) Wersja jednowieżowa 1 armata czołgowa Bofors wz. 37 kal. 37 mm (zapas amunicji – 80 szt.) 1 karabin maszynowy wz. 30 kal. 7,92 mm (zapas amunicji – 3960 szt.) 2) Wersja dwuwieżowa: 2 karabiny maszynowe wz. 30 kal. 7,92 mm (zapas amunicji – 6000 szt.)
PANCERZ	Max. 17 mm

Mikołaj Szkaradek kl. 1C

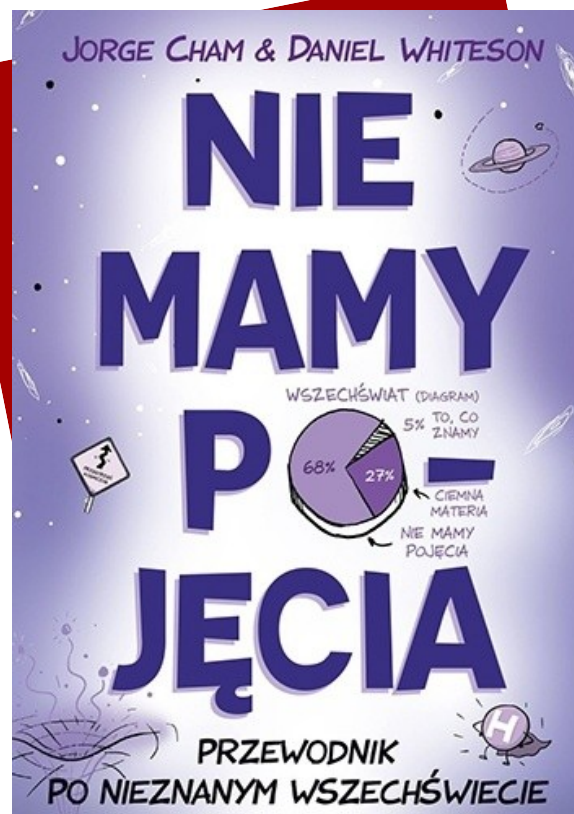


„NIE MAMY POJĘCIA” - RECENZJA

„Nie mamy pojęcia” to książka autorstwa Jorga Chama i Daniela Whitesona skupiająca się na słabo poznanych zagadnieniach z fizyki (np. ciemna materia) i chemii (np. cząstki elementarne), czy biologii (np. proces powstawania życia).

Pomimo komiksowej oprawy i wszechobecnego humoru książkę trudno uznać za prostą lekturę, niektóre tematy poruszane przez autorów wymagają dłuższej chwili do dobrego zrozumienia, co bywa utrudnione przez samych autorów czasami rezygnujących z nudnych (ale często przydatnych, do zrozumienia tematu) schematów na rzecz (zazwyczaj) zabawnych, ale nie ułatwiających procesu nauki mini-komiksów. Warto też wspomnieć o relatywnie wysokim progu wejścia (książka wymaga od czytelnika znajomości podstawowych praw z zakresu fizyki i chemii).

Pomimo wspomnianych wyżej wad książkę dalej można uznać za dobrą lekturę, a dzięki różnorodności tematów i to, że jest lżejszą w odbiorze niż inne książki, które poruszają podobną tematykę, jest doskonałym punktem wyjścia umożliwiającym poznanie interesujących tematów.



Na koniec warto jeszcze wspomnieć, że pomimo tego, że „Nie mamy pojęcia” zostało wydane w 2017 roku i przez te 7 lat część pytań zadawanych przez autorów znalazła odpowiedzi, to większa część książki nadal pozostaje aktualna. Po dwukrotnym przeczytaniu „Nie mamy pojęcia” mogę z całego serca polecić tę książkę każdemu zainteresowanemu tajemnicami wszechświata.

Mateusz Brzęk kl. 3B



WSPOMNIENIE

Jesień - skłania do refleksji, mnie nastraja do napisania o ludziach, o tym, że warto pomagać i że są wśród nas osoby, które niosą pomoc, nie oczekując niczego w zamian. Ja miałem w swojej rodzinie takiego człowieka, a że moje zainteresowanie II wojną światową jest dość duże, postanowiłem połączyć te dwa tematy.

Mój pradziadek Eugeniusz - zwykły, szary człowiek pracował na stanowisku maszynisty w Parowozowni Płaszów. Był również działaczem AK. Z tego co mi opowiedział mój dziadek (syn Eugeniusza), pradziadek ukrywał w swoim domu Żydów, a także prześladowanych z AK.

Pewnego dnia zorganizował akcję wywozu dwóch osób, żeby mogły przeżyć wojnę, a osoba narodowości żydowskiej, żeby mogła trafić do Palestyny.

Dziadek przygotował drewnianą skrzynię, która miała być ukryta pod węglem na tendrze parowozu. Wsiadł na lokomotywę i włączył odmulacze - było to urządzenie, które wytwarzało bardzo dużo pary tak, że parowóz wyglądał jak za mgłą. Zrobił to, dlatego, aby osoby oczekujące na wywóz mogły wskoczyć na ruszający pociąg niezauważone przez Bahnschutzów - niemieckich strażników ochrony kolei. I udało się! Następnie zamknięci w skrzyni pod węglem, w tych niekomfortowych warunkach zostali przewiezieni do Biadolin, gdzie mogli doczekać końca wojny w domu rodziny brata pradziadka.

Jakież to musiało być uczucie, gdy osoba narodowości żydowskiej mogła wrócić do swojej ojczyzny. Pradziadek też nie ukrywał zadowolenia i wzruszenia, gdy otrzymał list z Izraela z podziękowaniem.

Myślę, że nie chodzi o to, żeby robić wielkie rzeczy, albo żeby narażać swoje życie - chodzi o to, aby w zwykłych, codziennych gestach okazywać sobie nawzajem życzliwość. Tu przychodzi mi na myśl kazanie ks. Pawlukiewicza, w którym mówił o zrozumieniu cierpienia i o pomocy.

Przytoczył tam wywiad o pomocy dla Afryki, o tym, że pomoc oznacza nie tylko dać komuś pieniądze, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia. Pomoc to razem znosić cierpienie, wspólnie znaleźć wyjście z trudnej sytuacji. Bóg chce żebyśmy sami wzięli sprawy w swoje ręce.

"To się Bogu podoba, jeśli dobrze czynicie, a przetrwacie cierpienie" (1P 2, 20b)

Mikołaj Szkaradek kl. 1C



WSZYSTKIE GRZECHY „TATUAŻYSTY Z AUSCHWITZ”

W ostatnim czasie na rynku wydawniczym można było dostrzec pewien bardzo niepokojący trend. Mianowicie pojawiło się na nim bardzo dużo książek o tematyce dotyczącej obozów koncentracyjnych i obozów zagłady. Większość autorów tychże dzieł utrzymuje, że są one oparte na faktach historycznych. Swego czasu jedną z najbardziej popularnych powieści był „Tatuażysta z Auschwitz”, autorstwa pochodzącej z Nowej Zelandii Heather Morris. Książka ta zdobyła wiele nagród, wysokie miejsca na listach bestsellerów, a nawet doczekała się serialowej adaptacji. Teoretycznie nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że jest to książka szkodliwa, pełna przekłamań historycznych, nadinterpretacji, przeinaczeń i niedopowiedzeń, moim zdaniem wręcz obrażająca pamięć ludzi, którzy przeżyli uwięzienie w obozie. Przyjrzyjmy się więc po kolei wszystkiemu, co jest z tą powieścią nie tak.

Problem wspomnień

Lale Sokołow (tak naprawdę Eisenberg), główny bohater powieści istniał naprawdę. Trafił do Auschwitz w 1942 roku jako dwudziestosześcioletek. W obozie poznał swoją przyszłą żonę – Gitę Furman. Lale pracował jako tatuażysta, jego zadaniem było tatuowanie numerów na przedramionach więźniów. Swoją historię zdecydował podzielić się z Heather Morris po śmierci żony. Powieść jest jedyną zachowaną relacją z jego pobytu w obozie.



Niestety kompletnie bezwartościową. Wspomnienia jednej osoby nie są wystarczające do napisania książki zgodnej z prawdą historyczną, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak traumatyczne one są. Po tylu latach mogły się zatrzeć, pomieszać, ich część mogła zostać zwyczajnie wyparta z pamięci. Czytałam niedawno wywiad z Henrykiem Mandelbaumem, który również trafił do Auschwitz i był więźniem Sonderkommando. To oznacza, że zatrudniony był do obsługi krematoriów i palenia ciał zamordowanych więźniów.



W tej rozmowie Henryk utrzymywał, że nie zetknął się ze zwłokami dzieci, mimo iż pewne jest, że one również ginęły w komorach gazowych, a ich ciała były palone w krematoriach. Z opublikowanych m.in. w „Przeglądzie Lekarskim” opracowań wynika, że u wielu ludzi, którzy przetrwali obóz występowało zjawisko zwane selektywnym doborem wspomnień. Te szczególnie ciężkie są sprowadzane na margines, aż do stopniowego ich wyparcia. Dlatego pisać powieść tego typu, należałoby skonfrontować relację byłego więźnia z dokumentami, materiałami znajdującymi się w archiwum Muzeum KL Auschwitz, raportami, literaturą historyczną i zeznaniami innych świadków.

Absurd goni absurd

Dlaczego komendant obozu wita więźniów niczym Dumbledore nowych uczniów Hogwartu!? „- Witamy w Auschwitz. Jestem komendant Rudolf Hoess. To ja rządę tutaj w Auschwitz. (...) Pracujcie ciężko, róbcie co wam każą, a będziecie mogli odejść wolno. Jeśli nie posłuchacie, spotkają was konsekwencje. Tutaj zostaniecie zarejestrowani, a następnie traficie do nowego domu, Auschwitz II-Birkenau.” Chyba to oczywiste, że taka groteskowa sytuacja nigdy nie miała miejsca. Po wyjściu z pociągu więźniowie byli poddawani selekcji: na tych, którzy nadają się do pracy, oraz tych, którzy od razu trafią do komór gazowych. O żadnych powitaniach nie było mowy.

Następnie ma miejsce opis pierwszej nocy Lalego w obozie, w czasie której jest on świadkiem egzekucji. „Jeden wartownik obchodzi furgonetkę dookoła, puka w metalowe blachy w oknach, sprawdza, czy wszystko jest zabezpieczone. Drugi zwinnie wchodzi na dach, trzymając w dłoni kanister. Sparaliżowany Lale patrzy, jak Niemiec otwiera niewielką klapę na dachu i wlewa całą zawartość kanistra do środka. Następnie zatrzaskuje klapę i zamyka na zasuwę. Kiedy esesman schodzi na ziemię, furgonetka się trzęsie i z wnętrza dobiegają stłumione krzyki.” Po pierwsze, tego typu ruchome komory gazowe nie były używane w Auschwitz, jeśli już to znajdowały zastosowanie w jakiś mniejszych, tymczasowych obozach. Po drugie, co właściwie znajduje się w kanistrze? Na pewno nie jest to Cyklon B, który był przecież dostarczany do obozu w puszkach. W takim razie czy jest to trucizna? Żrący kwas? W żadnej książce naukowej o Holokauście nie ma ani słowa o takim sposobie zabijania więźniów.

Pewnego dnia Lale tatuuje więźniarki w obozie Birkenau. To również nie do końca się zgadza, ponieważ według większości relacji były one tatuowane przez inne kobiety. Uwagę bohatera zwraca jedna z kobiet – Gita Furman. Sokołow oznacza ją numerem 34902. Ten numer się nie zgadza! Niestety nie zachowały się żadne dokumenty dotyczące osoby, której wytatuowano te cyfry, jednak Gita z całą pewnością nie mogła ich otrzymać, ponieważ ten numer został wydany dopiero rok później transportowi Żydówek z Holandii.



Co ciekawe, sama Gita w wywiadzie dla Archiwum Historii Wizualnej Instytutu Fundacji Shoah podaje numer 4562. Dlaczego więc w książce zostało to zmienione? Nie wiadomo.

Lale jest bohaterem wręcz idealnym. Zna każdego, wszyscy go lubią i mu pomagają. Sam jest w stanie przemyścić tyle jedzenia, by wykarmić cały barak. Dodatkowo porusza się swobodnie(!) po terenie obozu, nikt go przy tym nie pilnuje. Sokołow może też praktycznie, kiedy chce, przejść z jednego obozu do drugiego, a nawet wejść do obozu kobiecego! W prawdziwym obozie esesman, który dopuściłby do takiej sytuacji, zostałby ciężko ukarany, a więzień – niezwłocznie zgładzony.

Sokołow stara się uratować więźnia, który został skazany na śmierć za próbę ucieczki. Skazaniec nie znajduje się w żadnym areszcie, nikt go nie pilnuje, zwyczajnie przychodzi do Lalego z grupką znajomych i prosi go o pomoc. Bohaterowi udaje się ocalić życie chłopaka, prosząc by ten został wpisany na listę osób do transportu. W tym celu udaje się do budynku administracji obozowej, do której najwidoczniej może sobie ot tak wejść...

Wracając jeszcze do pracy Lalego: ma jej strasznie mało! Raz na jakiś czas wytatuuje komuś numer, a Gita niby coś robi w budynku administracji. Zakochani mają tyle czasu wolnego, że mogą bez przeszkód się spotykać, umawiać na randki, wysyłać do siebie listy i -o zgrozo! – jeść czekoladę. Oczywiście wszyscy o tym wiedzą i nikt nie wyciąga wobec więźniów żadnych konsekwencji.

Lale jest bezpośrednim świadkiem najważniejszych wydarzeń, mających miejsce w obozie, takich jak likwidacja obozu romskiego czy bunt Sonderkommando w czasie, którego częściowo zniszczono jedno krematorium, a nie dwa, jak twierdzi autorka książki. Sokołow spotyka osobiście doktora Mengele, który wyznacza jego przyjaciela Leona do jednego ze swoich pseudo -eksperymentów medycznych. Gdy po paru tygodniach Leon wraca do obozu, okazuje się, że został wykastrowany. Tymczasem Josef Mengele nie zajmował się kastracją mężczyzn tylko „badał” dziedziczenie cech u bliźniąt oraz raka wodnego. Lale zostaje wprowadzony do komory gazowej, ponieważ został wyznaczony do pomocy w identyfikacji dwóch ciał. Taki więzień jak on nie mógł w rzeczywistości mieć dostępu do komór gazowych ani do krematoriów. Te tereny były bowiem kompletnie odizolowane od reszty obozu, a jedynymi osobami, które miały do nich dostęp, byli członkowie Sonderkommando. Nie dość, że Lale widzi, co tak naprawdę dzieje się w obozie, wraca po tym wszystkim do pracy jak gdyby nigdy nic, a esesmani nie przejmują się tym, że wśród więźniów jest ktoś, kto wie o komorach gazowych.

Niektóre z błędów poprawione zostały dopiero w polskim wydaniu książki, dlatego uważam, że warto tu o nich wspomnieć. W angielskim wydaniu można przeczytać, że pociąg wiozący ludzi do Oświęcimia przejeżdżał przez Ostrawę i Pszczynę. Tymczasem trasa składów jadących ze Słowacji (według danych opracowanych przez dyrekcję kolei słowackich i Reichsbahn) prezentowała się następująco: Zwardoń, Żywiec, Bielsko, Dziedzice, a następnie najkrótszą trasą do obozu – przez Dankowice.



Dlaczego zatem Morris doszła do wniosku, że pociąg jechał przez Pszczynę? Jak się okazuje, w momencie pisania książki, trwał remont linii kolejowej z Dziedzic do Oświęcimia, dlatego wyszukiwarka połączeń pokazywała określoną trasę. Oznacza to, że autorka weszła po prostu na stronę połączeń kolejowych, wyszukała trasę i umieściła to w książce, zamiast skonsultować się z kimś, kto posiada wiedzę na temat tego, które pociągi wiozące ludzi do obozu.

Pewnego razu Gita ciężko zachorowała, więc przerażony Lale prosi o pomoc polskich robotników i przemycą lek dla swojej ukochanej. Tym lekiem jest penicylina, która w czasie wojny była dopiero w fazie testów, a do powszechnego użytku weszła w latach 50. Po za tym skąd pierwszy lepszy polski robotnik miał do niej dostęp? W polskim wydaniu penicylina została zastąpiona jakimś bliżej nieokreślonym lekarstwem.

„W ogólnym zarysie fabularnym [książka jest] zgodna z historyczną prawdą, a informacje przedstawione jako fakty zostały zweryfikowane w odpowiednich źródłach.” Ciekawe tylko, jakich? Pewne jest, że autorka nie konsultowała się z Muzeum w Oświęcimiu, które wkrótce po wydaniu tej książki opublikowało 6-ście stronicowy artykuł, w którym wypunktowane zostały wszystkie błędy.

Wątek Cilki

Najgorszy ze wszystkiego jest jednak wątek Cilki. Prawdziwa Cecylia „Cilka” Klein urodziła się w Bratysławie w 1926 roku. Jako Żydówka, trafiła do obozu z całą rodziną, tylko jej udało się przeżyć



Po wojnie została oskarżona o kolaborację z Niemcami i zesłana w głąb Związku Radzieckiego. W gułagu spędziła 9 lat. To właśnie tam poznała swego przyszłego męża – Iwana. Po wyjściu z obozu osiadła w Bratysławie, zmarła w roku 2004.

Cilka w książce pewnego dnia zostaje dosłownie wywleczona z budynku administracji, w którym pracowała, przez dwóch esesmanów, zaprowadzona do pokoju z łóżem, z wielkim baldachimem, po czym wykorzystana przez jednego z nich. Od tego czasu żyła w relacji z jednym z esesmanów, dzięki czemu mogła liczyć na nieco lepsze traktowanie. Coś takiego nie miało i nie mogło mieć miejsca! Oczywiście żaden esesman nie miał specjalnego pokoju do krzywdzenia więźniarek i żaden nie utrzymywał z nimi jakichkolwiek relacji, dobrowolnych czy nie, ponieważ coś takiego skończyłoby się dla niego oskarżeniem o zdradę rasy i surową karą.



Przed wydaniem książki Heather Morris skontaktowała się z pasierbem Cecylii – Georgem Kovachem, który chciał przeczytać książkę, zanim zostanie ona opublikowana. Delikatnie mówiąc – nie był zachwycony. – „Poprosiłem aby nie publikowała książki, co oczywiście nie mogło się wydarzyć, albo, żeby jasno zaznaczyła, że Cilka jest postacią całkowicie fikcyjną.” Jednak nie przeszkodziło to Morris w napisaniu i wydaniu kolejnej książki, będącej w całości poświęconej postaci Cecylii – „Podróż Cilki”. Jeszcze przed jej publikacją Kovach wielokrotnie zgłaszał się do samej Morris jak i do wydawców, prosząc o usunięcie wątków, pozwalających skojarzyć Cilkę z powieści z jego macochą. Niestety, bezskutecznie. George wstąpił więc na drogę sądową i pozwał Heather Morris. – „Jestem zdeterminowany, aby oczyścić dobre imię Cecylii. Była cudowną osobą i jestem wściekły, że została znieważona w taki sposób. (...) Fakt, że Cecylia nie żyje, nie daje prawa do pisanie o niej kłamstw.” „Przeżyła Holokaust, była w Auschwitz, spędziła dziewięć lat w gułagu, a teraz jej życie i reputacja są szargane.”

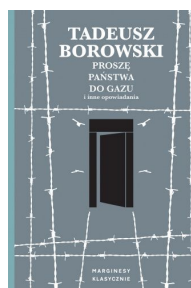
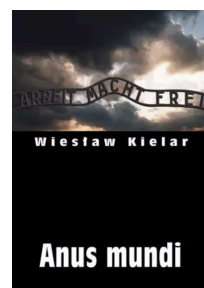
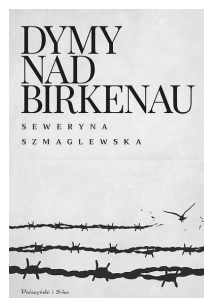
Podsumowanie

Wyobraźcie sobie, że po tę książkę sięgnie ktoś nieznający historycznych realiów, czyta o tym, jak swobodnie Lale i Gita mogli się spotykać, przemieszczać po obozie, ile mieli wolnego czasu. Może to doprowadzić do tego, że ten ktoś pomyśli sobie: „w sumie w tym obozie nie było przecież aż tak źle, skoro się mogli spotykać i jeść czekoladę, prawda?”. Niestety po sukcesie „Tatuażyści” na rynku pojawiło się mnóstwo książek, których akcja również rozgrywa się w obozach. Dla ich autorów nie liczy się prawda historyczna, a jedynie to, by fabuła przerażała, zszokowała lub wzruszyła czytelnika.

Ważne są krwawe opisy i dramatyczne sceny miłosne. Nie obchodzą ich prawdziwi ludzie, którzy w obozach przeżyli piekło, najważniejsze jest to, aby książka dobrze się sprzedała.

Wobec tego jakie książki o tematyce obozowej warto przeczytać? Oto moja lista dobrych i rzetelnych pozycji: opowiadania Tadeusza Borowskiego (najbardziej znane z nich to : „Proszę państwa do gazu” i „Pożegnanie z Marią”), „Dymy nad Birkenau”, czyli autobiografia Seweryny Szmaglewskiej, „Cesałam ciepłe króliki. Rozmowa z Alicją Gawlikowską - Świerczyńską” Dariusza Zaborka, „Rzeczy osobiste” autorstwa Karoliny Sulej, „Kobiety z Bloku 10” autorstwa Hansa Joachima Langa, „Pięć lat kacetu” Stanisława Grzesiuka, „Ja z krematorium Auschwitz”, czyli rozmowa z Henrykiem Mandelbaumem, byłym więźniem Sonderkommando, „Człowiek w poszukiwaniu sensu” Viktora Frankla oraz „Anus mundi”, wspomnienia Wiesława Kielara, jednego z pierwszych więźniów obozu w Oświęcimiu.

Dorota Cabaj kl. 3E





POWIEŚĆ KRYMINALNA

Rozdział 2

Wszelkie podobieństwo do osób żyjących bądź zmarłych jest zupełnie przypadkowe.

Przyjechali na miejsce zdarzenia najszybciej jak było to możliwe. Jakub wraz ze starszym aspirantem Miłkowskim jako pierwsi dotarli do celu i od razu udali się do mieszkania nr. 42. Zapukali do drzwi. Otworzyła im młoda kobieta ubrana w niebieską sukienkę. Miłkowski od razu poznał w niej osobę, która przyszła do nich poprzedniego dnia. Jednak podobieństwa kończyły się na sposobie ubioru i kolorze włosów. Wyraz twarzy zupełnie nie pasował do energicznej i pewnej siebie Jagody Sajeckiej, jaką poznali dzień wcześniej. Jagoda miała bladą twarz i błędne oczy. Jakub bardzo dobrze znał ten grymas. Wyraz szoku i niedowierzania po odkryciu tak straszliwej zbrodni często towarzyszył mu w pracy. Z reguły widział go na twarzach bliskich, do których wciąż nie docierało to, co się stało. Wiedział, że to co teraz powie będzie miało kluczowe znaczenie dla dalszego rozwoju śledztwa. Postanowił ostrożnie dobierać słowa i zaczął:

- Jak się pani nazywa?
- Jagoda Sajecka- odparła chlipiącym głosem.
- Kim jest zmarła osoba?
- To była moja siostra, Irenka.
- Czy była by pani w stanie nam po krótko wyjaśnić, co tu się stało?
- Tak, sądzę, że tak- odpowiedziała nieco pewniejszym głosem.

- Bardzo proszę- zachęcił ją Jakub. W takich chwilach najważniejsza była empatia oraz poczucie zrozumienia ze strony bliskich.

- Wczoraj rano wyszłam z domu ciut wcześniej, aby pójść na policję i zawiadomić o groźbach pod adresem mojej siostry. Następnie udałam się do pracy. O godz. 17 przyszedłam do domu i zaczęłam się szykować na imprezę urodzinową mojej przyjaciółki. Proponowałam Irenie aby, udała się ze mną, jednak ona nie chciała. To wszystko przez jej chorobę. O 19:30 przybyłam na urodziny. Wróciłam około 7 rano. I w tedy odkryłam coś strasznego- to mówiąc kompletnie się załamala. Jakub postanowił jeszcze zadać parę pytań:

- Czy wczoraj zauważyła pani coś dziwnego w zachowaniu siostry?

- Ona zawsze zachowywała się dziwnie. Cały czas chodziła smutna. Uśmiechała się tylko na wspomnienie o swoim narzeczonym.

- Doprawdy? A kim on jest?

- Nie mam pojęcia. Nie chciała o nim mówić, nie poznałam go. Podobno to jakiś biznesman pracujący za granicą. Nie wiem jeszcze, co mogę panom powiedzieć. Mam tylko jedną prośbę. Znajdźcie tego, kto to zrobił.

- Oczywiście - Zapewnił ją Kętowski - Czy moglibyśmy się rozejrzeć po mieszkaniu?

- Tak, sadzę, że tak.



- Świetnie, proszę w takim razie udać się na komisariat, tam spiszymy pani zeznania. Gdyby pani sobie jeszcze coś istotnego przypomniała, proszę nas natychmiast o tym poinformować.

- Dobrze tak zrobię. Jakub od razu przystąpił do działania.

W głowie kotłowało się wiele myśli, zdołał jednak odrzucić te najmniej prawdopodobne. Morderstwo na niczym nie wyróżniającej się kobiecie. Zbrodnia w biały dzień. Kradzież z włamaniem? To jedna z możliwości. Zbrodnia z namiętności? Możliwe, aczkolwiek trzeba będzie to dokładniej zbadać. Na razie postanowił obejrzeć ciało.

Wieczorem Jakub odbył długą rozmowę z komendantem.

-Co udało ci się ustalić?- zapytał na wstępie Zajączek.

-Czekam na dokładny raport koronera, jednak na tą chwilę wiem, że ofiara została dźgnięta ostrym narzędziem, prawdopodobnie nożem. Co do sprawcy nie mam jeszcze żadnych tropów.

-A ja mam- uśmiechnął się z przekąsem Ignacy- Nie wiem czy wiesz, ale mężem Ireny był Karol Satnek.

-TEN Karol_Satnek!?- zapytał z niedowierzaniem.

-Tak – potwierdził z dumą komendant. Karol Satnek był osobą znaną wszystkim mieszkańcom Nowego Sącza. Jednak przyjezdni także dobrze znali to nazwisko, a to dzięki firmie o nazwie „Satnek i spółka”. Firma ta zajmowała się produkcją i sprzedażą lodów. To właśnie one rozpowszechniły nazwisko Satnka na całą Polskę.

-To ciekawe, rzeczywiście- przyznał Jakub- ale jaki ma to związek ze sprawą?

-Ano taki, że Karol zgromadził ogromny majątek poprzez ciężką pracę. Od Jagody Sajeckiej dowiedziałem się, że przez ogrom pracy zaniedbywał swoje małżeństwo. Irena wiele razy mówiła mu o tym, jednak on nie słuchał. W końcu postanowiła odejść. Ale był pewien szkopuł.

-Podział majątku- zaczynał rozumieć Jakub.

-Ano właśnie, podział majątku. 50% przypadłoby Irenie. Karol nie chciał na to pozwolić. Namówił Irenę na separację. Zgodziła się i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że poznała narzeczonego. Jagoda nie wie kim on jest. Co oczywiste, Irena zażądała rozwodu. Karol nie chciał się zgodzić. Resztę dopowiedz sobie sam. Fakt faktem, że na śmierci Ireny najwięcej zyskuje Karol.

-Chce pan powiedzieć, że zabójcą jest miliarder i zarazem były mąż?

-A kto inny?

-A czy znalazł pan dowody?

-To nie moje zajęcie.- odburknął Zajączek- niech zbierze Pan ludzi, znajdzie dowody i zamknie drania. Tak sądziłem, że bogaci ludzie nie mogą być uczciwi.

-Dobrze- odparł z zażenowaniem Kętowski. Nie zamierzał się kłócić z komendantem.

I tak jak na jeden dzień, wypadki potoczyły się zbyt szybko. Wstał, ucisnął prawicę komendanta, wziął płaszcz i ruszył do wyjścia.

-Kętowski- zawołał na pożegnanie Zajączek- niech pan pójdzie do sklepu i kupi sobie jakieś ciuchy. Musi pan wyglądać jak człowiek.

C. D. N.

Nikodem Bodziony, kl. 1D



Dodatek z niewydanego numeru świątecznego

DZIECIĄTKO W OKOPACH

Poniższe opowiadanie przedstawia sytuację całkowicie fikcyjną, jedynie osadzoną w toku rzeczywistych wydarzeń i nie można traktować go jako autentycznej relacji historycznej. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci, zdarzeń i sytuacji jest całkowicie przypadkowe.

6 grudnia 1914 roku zaledwie dwudziestokilkuletni major pruskiej armii Embräuern został awansowany na pułkownika za męstwo, jakim wykazał się pod Tannenbergiem. Pruskie dowództwo zadecydowało również o przeniesieniu go z frontu wschodniego na zachodni, pod Ypres, gdzie trwała wówczas wojna pozycyjna. Przeniesienie go generałowie uargumentowali koniecznością przegrupowania niemieckich jednostek walczących z Brytyjczykami, by najpóźniej w Boże Narodzenie przełamać linię frontu. Toteż feldmarszałek Paul von Hindenburg wręczył świeżo upieczonemu pułkownikowi dekret sztabu generalnego, który wysyłał go na zachód.

Embräuern oczywiście do Belgii nie pojechał sam. Wziął ze sobą swojego adiutanta, Tarika – urodzonego na Krymie rosyjskiego jeńca wojennego. Tuż przed wyprawą kazał go ochrzcić w najbliższym kościele i nadał mu dla formalności imię Leopold, obdarzywszy go wcześniej także obywatelstwem Cesarstwa Niemieckiego. Tarik, pomimo bycia tylko starszym szeregowym i adiutantem najmłodszego pułkownika w historii pruskiej armii, miał swój światopogląd i nierzadko wyrażał zdanie odmienne niż Embräuern. To jednak nie przeszkodziło im przyjaźni, a jedynie przedstawiało młodemu pułkownikowi inny punkt widzenia na daną sprawę.

Embräuern był zdania, że trzeba walczyć do momentu zwycięstwa Habsburgów i Hohenzollernów lub zginąć za obydwu cesarzy na polu bitwy. Jego adiutant patrzył na tę kwestię zgoła inaczej – uważał, że do żadnej wojny by nie doszło, gdyby nie nadmierna furia Wiednia, wskutek której Austria zaatakowała Serbię. Zdecydował się zmienić stronę, stając się pierwszym pomocnikiem Embräuerna, licząc dzięki temu na szybką ucieczkę z carskiej Rosji. Obaj byli dla siebie jak Boka i Nemecek – bardzo się lubili, wzajemnie szanowali i byli najlepszymi przyjaciółmi.

Do Ypres Embräuern z Tarikiem dotarli po wyczerpującej podróży przez całe chylące się ku powolnemu upadkowi Cesarstwo Hohenzollernów w ostatnią niedzielę adwentu, zaledwie kilka dni przed wigilią Bożego Narodzenia. Obraz, jaki tam zastali, zupełnie ich przeraził. Absolutnie księżycowy krajobraz belgijskiego miasta sprawił, że słynący niegdyś z największych w Europie sukiennic gród był absolutną ruiną. Wszędzie można było usłyszeć walające się bomby, świszczące kule i brzęki przeładowywanej broni, ale w żadnym punkcie miejscowości nie można było doświadczyć miejskiego gwaru pełnego rozmów mieszkańców o drobnostkach i rzeczach całkowicie przyziemnych. Ba, nie było nawet mieszkańców.



Cyville albo chowali się w piwnicach obróconych już w gruz kamienic, albo uciekli z tego piekła w bezpieczniejsze rejony Belgii. Miasto jakoby stało się miejscem biblijnej rzezi niewiniątek – niczym sobie nie zawiniło, nie podpadło nikomu, a mimo to tysiące jego mieszkańców zginęło z powodu wielkich ambicji wojujących ze sobą mocarstw europejskich. Już na przedmieściach zaczynały się wielkie linie okopów, w których armia niemiecka odpierała ataki Brytyjczyków. Tam też Embräuern miał walczyć i dowodzić pewną grupą ludzi.

Atmosfera w okopach była napięta. Poprzedni dowódca został w trybie pilnym wezwany na jakąś poważną rozmowę do Berlina, więc żołnierze przez kilka dni byli zmuszeni walczyć na chybił-trafił, będąc dowódcami samych siebie. Ostrzał brytyjski nie ustawał, więc Niemcy też odpowiadali ogniem. Mogliby tak walczyć aż do końca świata – zdawało się, że tylko Bóg jest w stanie rozdzielić walczące strony, uciekając się do Apokalipsy. Morale Prusaków wyraźnie wtedy osłabło – nie mogli spełnić wielkich ambicji szeregu generałów i feldmarszałków, jak również samego Kaisera. Klęli w duchu na Austriaków, którzy wywołali wojnę, przeklinali twardy opór sił brytyjskich, wreszcie obrażali panującą dynastię, w imię której musieli walczyć. Splamiony krwią zimny śnieg, podsycony odorem dziesiątek trupów, w niczym nie przypominał tego śniegu z ich heimatów, którym rzucali się nawzajem, z którego lepili bałwana i po którym zjeżdżali z górki na sankach. Tamten sprawiał wrażenie ciepłego, przypominał im najwspanialsze momenty dzieciństwa, najpiękniejsze chwile ich życia, które lada moment może dobiec końca;

ten był podwójnie zimny – dosłownie i w przenośni, stał się ponurym symbolem rychłej śmierci w imię czyjegoś widzimisie na obcej ziemi. Nikt nie śmiał myśleć o nowonarodzonym Chrystusie – okopy pod Ypres nie były miejscem godnym Jego przyjścia. Dzieciątko Jezus przecież miało zwiastować pokój, więc na froncie wojennym, w czasie niezwykle krwawych walk świętowanie Jego narodzenia wydawało się całkowicie bezzasadne. Do takich właśnie okopów, udekorowanych choinką żalu, przekleństw, rozpacz i śmierci, wchodził Embräuern z Tarikiem.

Młody pułkownik był świadomy panujących w przypisanym mu oddziale nastrojów, gdy wchodził do okopów w wigilijny poranek. Wiedział, że szanse pod Ypres nie są dobrym miejscem na świętowanie Bożego Narodzenia. Z ponurą miną zarządził ostrzał pozycji brytyjskich, a potem poszedł w kąt, gdzie nie było nikogo. Wyciągnął z kieszeni swojego munduru obrazek z podobizną Dzieciątka Jezus, który dał mu ksiądz w kościele będącym miejscem chrztu Tarika. Ukłęknął i przeżegnawszy się, odmówił dziesiątkę różańca, spoglądając ze smutkiem w zachmurzone niebo. Poprosił, by nikt mu nie przeszkadzał i z utęsknieniem wyciekiwał pierwszej gwiazdki na pochmurnym, skażonym dymem z luf karabinów, firmamencie. Gdy wreszcie ona się pojawiła, wezwał wszystkich podległych mu żołnierzy do siebie.

- Szeregowy Schmidt – zaczął. – Proszę podać dzisiejszą datę.

Zapytany żołnierz nieśmiało zerknął do swojego notesika i z pewnego rodzaju trwogą spojrzał na Embräuerną.

- Dwudziestego czwartego grudnia, panie pułkowniku – przerażony wydukał z siebie.



- Starszy szeregowy Graumeier, proszę powiedzieć, co się wydarzyło tej nocy, która się przed chwilą zaczęła – Embräuern kontynuował serię pytań.

- Yyyy... nie mam pojęcia, proszę wybaczyć, z historii nigdy nie byłem dobry – młody wojskowy zestresował się i całkowicie zapomniał o Bożym Narodzeniu.

Pułkownik ciężko westchnął i spojrzał na przerażonych szeregowców. Sam także się przeraził – wojna tak bardzo wpłynęła na psychikę tych młodych ludzi, że aż zapomnieli o świętach. Nie chciał, by w takim nastroju walczyli za swoją ojczyznę, dlatego postanowił ich rozradować. Upewniwszy się, że jest bezpiecznie, posłał Tarika do lasu, by urwał parę świerkowych gałązek. Sam jednocześnie wyrwał kilka kartek ze swojego notesu i narysował na nich grupkę aniołów. Gdy Tarik wrócił, Embräuern ponownie przywołał swoich podopiecznych i powiedział:

- Jesteście zapewne z przeróżnych zakątków Cesarstwa. Powiedzcie, jak się obchodzi Boże Narodzenie w waszych domach.

Pierwszy odezwał się szeregowy Kowalski z Prowincji Poznańskiej:

- W moim heimacie, małym miasteczku pod Poznaniem, przed wieczerzą wigilijną zawsze łamiemy się opłatkiem. To chleb podobny do Hostii, tyle że niekonsekwentny. Każdy bierze po jednym i dzieli się nim z innymi, składając przy tym życzenia.

Embräuern jako rodowity Niemiec z zaciekawieniem przysłuchiwał się tej opowieści o tym niezwykłym zwyczaju.

- Masz jakieś opłatki przy sobie? – Spytał wreszcie z zaciekawieniem, wychodząc z zadumy nad nowopoznanym polskim zwyczajem.

- Niestety nie. Piecze się je tylko około świąt Bożego Narodzenia. Jak powołali mnie do wojska, był koniec lipca.

- Zatem podzielimy się chlebem – pułkownik oznajmił stanowczo, chcąc dać do zrozumienia, że pragnie sprowadzić do okopów choć trochę świątecznej magii.

Żołnierze wyjęli zatem resztki swoich bochenków chleba, które dostali jako racje żywnościowe w sztabie. Zaczęli się dzielić nimi, składając sobie przy tym życzenia. Nagle jakby przestali siedzieć w okopach, zupełnie zapomnieli, że są na wojnie. Nawet się nie zorientowali, że od strony brytyjskiej ostrzał również ustał. Wreszcie przyszedł Tarik ze stosem świerkowych gałązek. Embräuern powiesił na nich własnoręcznie wykonane ozdoby z papieru. Co prawda, daleko im było do choinki, ale stanowiły pewną namiastkę świątecznego drzewka. Pułkownik spojrzał w niebo i się uśmiechnął.

- To ta pora – powiedział. – On właśnie się narodził. Żona i córka są pewnie teraz na pasterce. Zaśpiewajmy chociaż *Stille Nacht*. Zaśpiewali, oczywiście a capella, bo w szańcach nie było przecież miejsca na instrumenty. To rzeczywiście była cicha noc – nie było ostrzału od strony brytyjskiej, jak również święta – narodził się w dalekim Betlejem Jezus Chrystus. Do żołnierzy zaczęło powoli docierać, że przecież trwa Boże Narodzenie. Nagle usłyszeli z drugiej strony okopów znaną im melodię – ktoś śpiewał *Silent Night*.

- Oni też świętują – powiedział Embräuern. – Wyjdźmy do nich i połammy się z nimi naszym opłatkiem.

W oczach jego podwładnych zapanowało przerażenie. Jak on zamierza przejść przez tę ziemię niczyją? Przecież nikt jeszcze nie wrócił z niej żywy. Jak chce z nimi połamać się opłatkiem, skoro walczą po stronie wroga?



Jakim cudem chce się zbratać z brytyjskimi żołnierzami, jeśli poszli na wojnę za króla w Londynie, któremu przecież na rękę jest upadek Hohenzollernów? W ich umysłach pojawiało się coraz więcej pytań, na które nie potrafili znaleźć odpowiedzi. Pomysł młodego pułkownika wydawał się szalony i irracjonalny, a jego wykonanie uchodziło za coś absolutnie niemożliwego. Spojrzeli na niego z ogromną trwogą, dając mu jednocześnie swoimi oczami sygnał, że ta idea jest sama w sobie przerażająca, błagalnie go prosząc, by jednak nie posuwał się do przejścia na drugą stronę.

- Wiem, że patrzycie na mnie jak na kompletnego idiotę – Embräuern poczuł się pociągnięty do odpowiedzi na pełen przerażenia widok oczu swoich podwładnych. – Pragnę tylko zauważyć, że zarówno my, Niemcy, jak i oni, Brytyjczycy, jesteśmy dziećmi tego samego Boga, który dzisiaj przyszedł na świat.

- Ale to są nasi nieprzyjaciele, panie pułkowniku! – spostrzegł przerażony Graumeier.

- A co powiedział na ten temat dzisiejszy Jubilat? – Embräuern nie dawał za wygraną. Zapadła całkowita cisza. Było słychać tylko echa kolęd z brytyjskich szańców. W niemieckich żołnierzach obudził się jednocześnie podziw i pogarda dla dowódcy. Nie rozumieli pomysłu połamania się chlebem z Brytyjczykami, ale cieszyli się sprowadzoną do Ypres na nowo magią świąt.

- Miłujcie swoich nieprzyjaciół! – Odpowiedział po krótkim namyśle szeregowy Kowalski.

- Dokładnie! – Skwitował pułkownik. – Spędźmy choć ten czas na pojednaniu, by mógł przysiąc na świat w pokoju.

Embräuern wziął pierwszą lepszą świeczkę, zapalił ją i przeżegnawszy się, wyszedł na pas ziemi niczyjej, zmierzając pośród kilkudziesięciu zwłok poległych obu stron. Za nim poszedł Tarik ze świerkową gałązką i Kowalski z chlebem. Pozostali, nieco zachęceni przez swojego dowódcę i dwóch kompanów, sami, być może i wbrew własnej woli, ruszyli w stronę okopów brytyjskich. Żołnierze Jego Królewskiej Mości, widząc zmierzających ku nim Niemców, sami wyszli im naprzeciw.

- Frohe Weihnachten! – Embräuern z radością złożył życzenia brytyjskiemu dowódcy, niejakiemu burgrabiemu de Celermont.

- Merry Christmas! – Burgrabia z radością odwzajemnił życzenia i uściśnął pruskiego pułkownika.

Brytyjscy szeregowi wyszli na spotkanie do tych niemieckich i zaczęli z nimi rozmawiać. W tę jedną noc wojna stała się fikcją. Wczoraj byli dla siebie wrogami, dzisiaj zostali wzajemnymi przyjaciółmi. Dowódcy obu stron zaczęli ustalać organizacyjne kwestie rozejmu, by zapewnić biednemu miastu względny spokój na Boże Narodzenie. Wszyscy byli zgodni co do tego, że gdyby Chrystus miał przyjść na świat w 1914 roku, narodziłby się właśnie w Ypres. On zawsze był wśród najbiedniejszych ludzi i dawał im promyk nadziei, która nie gościła w tym miejscu od dawien dawna. Nawet chmury na niebie ułożyły się uśmiechnięte twarze Józefa Mohra i Franza Grubera – wedle słów i melodii stworzonej przez nich kolędy nastała cicha noc, święta noc, pokój niósł się ludziom wszem. W całym mieście Matka święta czuwała sama, uśmiechnięta nad Dzieciątka i mieszkańców Ypres snem...



Ostatecznie Embräuern ustalił z de Celermontem, że przerwa w wymianie ognia potrwa do wpół do dziewiątej drugiego dnia świąt. Wydano też formalną decyzję, na mocy której żołnierze mieli pozostać w okopach, chociaż obaj dowódcy byli świadomi tego, że będzie to martwy przepis. Niemiecki pułkownik podarował brytyjskim żołnierzom beczkę bawarskiego piwa na zgodę. Burgrabia zaś odwdzieczył się tradycyjnym świątecznym puddingiem. To była jak dotąd najdziwniejsza wieczerza wigilijna w historii – jeszcze nikt nie wpadł, by połamawszy się chlebem zastępującym niedostępny na froncie opłatek, zająć się angielskim puddingiem, popijając go złocistym trunkiem z Bawarii. W szanćcach pod Ypres wreszcie nastąpiło prawdziwe Boże Narodzenie.

Niebawem nastał świąteczny poranek. Księżyc schował się za horyzont i weszło na niebo słońce, pełne nadziei, której wcześniej zabrakło. Niemieccy żołnierze razem ze swoimi brytyjskimi kolegami zaczęli kopać mogiły, w których zamierzali pochować poległych z obu stron. Zebrawszy z pasa ziemi niczyjej wszystkie ciała, pochowali je we wspólnym grobie. Tam, po drugiej stronie śmierci, byli już jednością. Kraj i władca, dla których walczyli, przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Liczyło się jedynie to, że przeszli przez bramę na tamten świat. Ci żyjący jeszcze wojskowi, którzy grzebali zwłoki, odśpiewali *Dies irae*, a potem przysypali ciała ziemią. Niemiecką, brytyjską i tą najświętszą – niczyją. W momencie składania poległych do grobów szkoccy dudziarze z jednostek brytyjskich zagrali melodię żałobną. Embräuern razem z de Celermontem przeżegnali się i złożyli sobie nawzajem kondolencje. Następnie wspólnie ze swoimi podwładnymi odśpiewali Psalm 23.

Wszyscy nagle oczami wyobraźni poczuli, że księżycowy dotychczas krajobraz ziemi niczyjej zamienia się w zielone pastwiska, o których pisał król Dawid w swojej pieśni. Na tej wyimaginowanej zielonej łące postanowili urządzić mecz piłki nożnej. Nie dobrali się w drużyny, nie podzielili swoich ról. Po prostu grali systemie „wszyscy na wszystkich”. Po jednej stronie w futbolistów zamieniło się około pięćdziesięciu żołnierzy, po przeciwnej – drugie tyle. Po niespełna dwóch godzinach piłka zawieruszyła i z tego powodu zdecydowali, że rozgrywkę należy już zakończyć. Wygrali ją Niemcy z wynikiem trzech do dwóch goli. Embräuern był niezwykle dumny ze swoich żołnierzy. I również z siebie, bo to on ocalił święta na froncie.

Długo jeszcze przechodzili na drugą stronę okopów, poznając się bliżej z kolegami ze strony przeciwnej. Rozmawiali ze sobą o przyziemnych drobnostkach, wymieniali się podarkami. Zostali już nie żołnierzami dwóch walczących ze sobą państw, lecz po prostu – przyjaciółmi. Wspólnie powitali Nowy Rok i wybawili się w noc sylwestrową. Mieli nadzieję, że rozpoczynające się, już tysiąc dziewięćset piętnaste 365 dni po Chrystusie, będzie lepsze od tego poprzedniego. Marzyli, żeby wreszcie zapanował zwiastowany przez Dzieciątka Jezus pokój, by wojna zakończyła się co najwyżej *status quo ante bellum*. Embräuern był taki szczęśliwy...

Niestety wieść o spontanicznym rozejmie dotarła 3 stycznia do brytyjskiego sztabu. Generałowie króla Jerzego V raczej tym wydarzeniem zachwyceni nie byli. Feldmarszałkowie Kaisera Wilhelma II też nie wykazywali zadowolenia z powodu pokoju na czas Bożego Narodzenia.



Brytyjczycy wystali więc depeszę do burgrabiego de Celermonta i nakazali mu pod groźbą degradacji wznowić ostrzał. Podobna decyzja przyszła z Berlina do Embräuerna. Ten sam von Hindenburg, który go miesiąc wcześniej awansował, w przerażających słowach odgrażał się młodemu pułkownikowi, że równie dobrze może go zdegradować nawet do stopnia szeregowego, jeśli natychmiast nie zakończy rozejmu bożonarodzeniowego. Cały wysiłek Embräuerna z jednym kawałkiem papieru poszedł na marne – może i ocalił święta, ale nie mógł zaprowadzić pokoju obiecanego przez Dzieciątko Jezus. To wydarzenie bardzo go też zmieniło – wprawdzie dalej chciał walczyć za Hohenzollernów, ale już nie za wszelką cenę. Nie chciał wracać z pola bitwy tylko z tarczą lub na tarczy, już nie wykluczał, że może dostać się do wrogiej niewoli jako jeniec wojenny. I wciąż żył nadzieją, że jeszcze kiedyś nastąpi rozejm bożonarodzeniowy... Tak, feldmarszałkowie jego ukochanego cesarza zdecydowanie zniszczyli mu Boże Narodzenie nawet po jego zakończeniu. Przeczytawszy depeszę, ciężko westchnął i wezwał do siebie wszystkich, tak jak na początku rozejmu.

- Niestety wieść o naszym rozejmie dotarła na górę – smutno stwierdził niezbyt przyjazny mu i jego podopiecznym fakt. – Z wielkim bólem serca muszę zakończyć rozejm bożonarodzeniowy. – Mówiąc to, łzy mu napływały do oczu. A jeśli on w tym nowym gradzie bomb i pocisków artyleryjskich zginie? Co poczną bez niego jego biedna żona z zaledwie kilkuletnią córeczką? Dlaczego ten sam nowonarodzony Bóg aż tak pokarałby jego rodzinę, zabierając do siebie kochającego męża i ojca?

Na te i wiele innych pytań nie potrafił znaleźć odpowiedzi, zupełnie jak jego żołnierze tuż przed zawieszeniem broni. Jenó patrzył w gwiaździste niebo, szukając jakby na nim Gwiazdy Betlejemskiej, która poprowadziłaby go do pokoju. Wziął do ręki różaniec i modlił się, uprzednio załawszy się łzami...

Szeregowi jednak nie znali powagi sytuacji. Wciąż próbowali przechodzić na drugą stronę okopów do nowopoznanych przyjaciół. Wiele razy w przeciągu tych kilkunastu dni już przechodzili i tym razem też przeszli. Przeszli, ale na tamten świat. Snajperzy z obu stron byli zmuszeni otworzyć ogień do ponownie wrogich wojsk. Ziemia niczyja znowu była pełna ciał, które tonęły w śniegu i swoim zapachem oraz widokiem uprzykrzały życie biednym żołdakom. Wszystko wróciło do smutnej i ponurej normy, która na nowo stała się przykrą rzeczywistością.

Niebawem w Berlinie zapadł kolejny wyrok dla Embräuerna. Wysokie rangą grono feldmarszałków i generałów zadecydowało o przeniesieniu młodego pułkownika do jednostek niemieckich mających być wsparciem dla Turków pod Gallipoli. Miał zostać adiutantem feldmarszałka armii osmańskiej, z pochodzenia Niemca, aby ułatwić komunikację między nim a żołnierzami, którzy ojczystej mowy Goethego nie znali. Dlatego wziął też ze sobą Tarika, który biegle operował językiem tureckim. Z ogromnym bólem serca pożegnał się z poznanymi w szatach żołnierzami i powiedział im:

- Jeszcze będzie pięknie! Gott ist mit uns!



Po wypowiedzeniu tych pięknych słów odszedł z Tarikiem w ciemny las. Nikt z jego żołnierzy już później go nie widział. Wszyscy płakali za nim, jak Naród Wybrany za Mojżeszem, ale przecież wiedzieli, że nic nie są w stanie zrobić. Taka zapadła wola dowództwa i trzeba było ją przyjąć niezależnie od tego, czy im się podobała, czy też nie. Sam zaś Embräuern przedostał się ze swoim adiutantem do Gandawy, skąd udał się pociągiem do Berlina. Stamtąd pojechał Balkanzugiem już bezpośrednio do Konstantynopola, skąd pod koniec kwietnia miał wyruszyć na kolejny front.

Jeśli ktoś twierdzi, że Embräuern spotkał naprawdę tragiczny los, zapewne nie zdaje sobie sprawy z tego, co wycierpiało biedne Ypres w kolejnych dniach wojny. Musiało srogo odpokutować chwile wytchnienia w czasie rozejmu bożonarodzeniowego. Znowu ulice miasta zamieniły się w krwiste rzeki, jeszcze bardziej rujnowało się resztki jego ruin. Życie znowu przeniosło się do piwnic zniszczonych kamienic, a krwawy atak brytyjski utwierdził mieszkańców w przekonaniu, że ich miasto stało się synonimem piekła. Jeszcze bardziej trafne stało się to określenie w momencie, kiedy Niemcy zrzucili na zniszczone miasto gazy bojowe, stosując po raz pierwszy broń chemiczną. Miasto, które chciało oddychać pokojem przyniesionym przez małego Jezuska, dusiło się w gryzącej woni gazu musztardowego.

Niebawem przyszła kolejna zima, a wraz z nią kolejne Boże Narodzenie. Niektórzy żołnierze, pamiętający wydarzenia sprzed roku, próbowali się bratać z wrogiem wojskiem. Nowi dowódcy do tego jednak nie dopuścili, zarządzając silne ostrzały artyleryjskie na dni świąteczne.



Źródło: Wikipedia

W sztabach grono generalskie skrupulatnie pilnowało rotacyjności oddziałów, przenosząc ich raz po raz w inne miejsce na linii frontu, by nie dopuścić do zbratania się żołnierzy. Boże Narodzenie znów się stało pięknym wspomnieniem z minionej już przeszłości, która już nigdy nie powróci. Zresztą bez Embräuern rozejm świąteczny nie byłby taki sam. Brakowałoby jego dobrej woli i chęci do rozmowy z drugą stroną, tej jego pomysłowości, dzięki której zawieszenie broni mogło mieć miejsce. Zamiast tego wojskowi obu stron mieli przed sobą w pasie ziemi niczyjej stosy trupów, które padły za wielkie widzimisię władców europejskich. Za sobą mieli szeregi feldmarszałków i generałów, reprezentujące przesadzone ambicje wojujących ze sobą mocarzy. Tak, to oni, ci niezaspokojeni swoimi ambicjami wielcy samodzierzcy Starego Kontynentu, zniszczyli święta Bożego Narodzenia.

Jakub Wojasiński, kl. 3C

KĄCIK KULINARNY



Ciasto czekoladowe

SKŁADNIKI:

- 700 ml śmietanki kremówki 30%
- 200 g kremu nutella
- 100 g gorzkiej czekolady
- 2 łyżki cukru pudru
- 4 łyżeczki żelatyny lub śmietan fix
- 1/4 szklanki wody

DODATKOWO:

- 2 opakowania herbatników kakaowych
- mały słoik dżemu porzeczkowego
- 50 g startej czekolady lub wiórków czekoladowych

PRZYGOTOWANIE:

Formę o wymiarach 24 x 24 cm wykładamy papierem do pieczenia. Układamy na dnie warstwę z herbatników.

Żelatynę zalewamy wodą i zostawiamy do napęcznienia. Podgrzewamy przez chwilę w mikrofali, mieszamy i zostawiamy do ostygnięcia. Czekoladę roztopiamy nad kąpielą wodną i zostawiamy do wystudzenia. Śmietankę miksujemy na gęsty krem. Cienkim strumieniem wlewamy ostudzoną żelatynę. Krem dzielimy na dwie części z czego jedna nieco większa. Do większej dodajemy przesiany cukier puder. Do drugiej mniejszej dodajemy stopniowo po łyżce roztopioną czekoladę i szybko mieszamy. Dodajemy po łyżce nutellę i ponownie miksujemy. Wykładamy na herbatniki i przykrywamy kolejną warstwą herbatników. Następnie wykładamy dżem oraz przykrywamy kolejną warstwą herbatników. Przykrywamy jasną częścią kremu. Gotowe ciasto wkładamy na kilka godzin lub całą noc do lodówki. Przed podaniem oprószamy startą czekoladą lub wiórkami czekoladowymi.

ilovebake.pl



